

Marek Karwala

Portret podróżnika : sportowe "wyprawy" Bohdana Tomaszewskiego

Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historicolitteraria 7,
201-209

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Marek Karwala

Portret podróżnika.

Sportowe „wyprawy” Bohdana Tomaszewskiego

W obecnej dobie podróżowanie stało się codzienną praktyką wielu ludzi. Przemierza się kraje i kontynenty w celach turystycznych, w poszukiwaniu pracy, z powodów rodzinnych i zapewne z wielu przyczyn tutaj niewymienionych. Ale jeszcze kilkanaście lat temu posiadanie paszportu było dla Polaka swoistym przywilejem. Do nielicznego grona szczęśliwców, dla których wrota Europy i świata stały otworem, należeli sprawozdawcy sportowi. Z racji zawodowych obowiązków podążali do miejsc niejednokrotnie odległych i egzotycznych, poznawali nowe kultury i obyczaje. Bywając na Zachodzie, mieli możliwość konfrontowania siermiężnej, rodzimej codzienności z kolorowym światem wolnych ludzi.

Do grona takich podróżników należał Bohdan Tomaszewski. Bywał na mistrzostwach świata, Europy, olimpiadach... Tych ostatnich zaliczył dwanaście. Podążał trasami popularnego niegdyś kolarskiego Wyścigu Pokoju; wraz z tenisistami był na kortach tzw. wielkiego szlema, czyli na trawiastych obiektach londyńskiego Wimbledonu, paryskiej cegle Rollanda Garrosa, betonie australijskiego Melbourne i amerykańskiego Forest Hills, a potem Flushing Meadows. Komentował mecze piłki nożnej, sporty zimowe i wiele innych dyscyplin. Ten „poeta mikrofonu”, bo tak go nazywano, – umiał dostrzec piękno nawet w brutalnym boksie. Twierdził, że ostatnim wielkim polskim bokserem był Jerzy Kulej. I chyba słusznie. Potem, co prawda Polacy zdobywali jeszcze medale, ale Średnicki, Błażyński, Rybicki czy Gołota nie mieli już tej charyzmy, co Kulej, Grudzień, Kasprzyk, Walasek, Pietrzykowski czy Paździor, których Feliks Stamm nauczył słynnej „szermierki na pięści”, a nie chęci „zabicia” przeciwnika w ringu.

Obecnie, gdy panuje ścisła specjalizacja, gdy dziennikarz sportowy zna się na jednej, góra dwu dyscyplinach, Tomaszewski wydaje się wzorem niedoścignętym. Jego szeroka wiedza była naturalną konsekwencją autentycznego umiłowania sportu. Owo zaś umiłowanie w połączeniu z magnetyzującym tembrem głosu i talentem literackim czyniło zeń sprawozdawcę radiowego, którego słuchali nawet ludzie nie interesujący się sportem. Warto w tym miejscu przypomnieć, jak widział go Andrzej Szczypiorski:

Sam nigdy sportu nie uprawiałem – to moja wielka wada, życiowa słabość – i nigdy się sportem nie interesowałem. Nawet zdumiewało mnie, że są ludzie mojego zawodu, moich doświadczeń, tacy na przykład jak Tadek Konwicky czy Stanisław Dygat, którzy niesłuchanie się zajmowali sportem i mieli szalenie dużo na jego temat do powiedzenia. [...] wiele lat temu usłyszałem Bohdana na antenie jako sprawozdawcę. Było to w ogóle pierwsze sprawozdanie sportowe, którego w życiu słuchałem. Uderzyła mnie rzecz niezwykła. Od tego czasu – byłoby co prawda przesadą twierdzić, że zmieniłem swój stosunek do sportu, ale w każdym razie – stałem się człowiekiem, który zaczął słuchać relacji Tomaszewskiego. Ponieważ po raz pierwszy zetknąłem się ze sprawozdaniem, które w ogóle nie było sprawozdaniem sportowym. Były to znakomite felietony literackie poświęcone tematyce sportowej. Miałem oto do czynienia z pisarzem, który nie pisał piórem, tylko słowami pisał pasjonującą opowieść, która przypadkowo odnosiła się do sportu. Ale równie dobrze mogłaby się odnosić do filmu czy innych spraw. Od tego momentu widziałem w Bohdanie Tomaszewskim przede wszystkim człowieka języka. Nie człowieka sportu, nie sprawozdawcę sportowego – tylko pisarza. Człowieka literatury. [...] Stąd w najmniejszym stopniu mnie nie zdumiało, że był moim kolegą w Związku Literatów, gdzie spotykaliśmy się w naszej wspólnej organizacji pisarskiej, oraz fakt, że widywaliśmy się na gruncie towarzyskim¹.

Szczypiorski zachwycał się słowem mówionym Tomaszewskiego, ale trzeba pamiętać, że ten ostatni sięgał również po pióro, co pozwoliło mu zostać członkiem Związku Literatów Polskich. Na jego kilkanaście książek składają się głównie reportaże, ale też wykorzystujące fikcję literacką opowiadania i niepowtarzalne felietony. Felieton sportowy uprawiają zwykle ludzie, którzy ze sportem byli lub są w jakiś sposób związani, natomiast tzw. życiowy sukces osiągnęli poza sportem. Wyróżnili się w tym zakresie m.in.: przedwcześnie zmarły Krzysztof Mętrak, w młodości piłkarz warszawskiej „Polonii”, a później znany stołeczny publicysta, Wojciech Lipoński – poznański profesor anglistyki, który w latach młodości biegał w kadrze narodowej 400 m i był tuż za słynną sztafetową czwórką (Grędziński, Balachowski, Werner, Badeński), Ryszard Niemiec – dawniej koszykarz klubów rzeszowskich, obecnie dziennikarz i publicysta. Ten ostatni zamieszczał swoje zjadliwe felietony na łamach m.in. „Życia Literackiego”. W tym towarzystwie mógłby się znaleźć także krakowski filozof i działacz ruchu olimpijskiego – Józef Lipiec. Wcześniej uprawiał felieton sportowy znany pisarz Stanisław Dygat, pasjonat sportu, w młodości trenujący m.in. boks i tenis. W tym szacownym gronie Bohdan Tomaszewski zajmuje miejsce osobne, przede wszystkim ze względu na sposób podejścia do zagadnień czysto sportowych. Widzi je bowiem w szerokim kontekście kulturowym i społecznym, stara się w szlachetnej rywalizacji dostrzegać pierwiastki zarazem humanistyczne i dramatyczne, estetyczne i emocjonalne. Interesujące są okoliczności, które zadecydowały, że Tomaszewski zaczął pisać felietony. On sam wspomina je następująco we wstępie do ich wydania książkowego:

¹ Wypowiedź A. Szczypiorskiego, cyt. za: K.L. Tomaszewski, *Bohdan Tomaszewski – poeta mikrofonu*, Warszawa 1992, s. 176–177, passim.

Miałem za sobą już kilka lat pracy przy mikrofonie, gdyż w okresie przedpaździernikowym otworzyły się przede mną drzwi do Redakcji Sportowej Polskiego Radia. Jesienią 1956 roku mogłem już pracować na igrzyskach w Melbourne. Cztery lata później pracowałem w Rzymie. Tegoż lata naczelny redaktor „Przeglądu Kulturalnego”, Gustaw Gottesman, nieoczekiwanie zwrócił się z propozycją, bym przysłał z igrzysk w Rzymie reportaże dla tego tygodnika. Wahałem się, zadania sprawozdawcy radiowego wystarczająco mnie pochłaniały. Bałem się przy tym szacownych łamów „Przeglądu Kulturalnego”. Pisząc o sporcie szedłem do tej pory rytmem i stylem „Expressu Wieczornego”, gdzie wychowałem się pod dziennikarską opieką redaktora Rafała Pragi, kierowany bezpośrednio przez doświadczonego, bo jeszcze przedwojennego dziennikarza sportowego, redaktora Kazimierza Gryżewskiego. Ale pokierowała mną ambicja. Napisałem z Rzymu dla „Przeglądu Kulturalnego” parę reportaży i redaktor Gottesman zaproponował, bym zaczął pisać cotygodniowy felieton sportowy. Tego już przestraszyłem się bardziej. Znaleźć się na tych samych stronicach, gdzie piszą Wańkowicz, Dygat, Osmańczyk, gdzie pojawia się proza Dąbrowskiej, Andrzejewskiego, Strykowski, Iwaszkiewicz? Onieśmielające swym poziomem były także stałe felietony Andrzeja Kijowskiego. Życzliwa zachęta paru osób z tego środowiska przeważała, i pierwszy felieton sportowy ukazał się w „Przeglądzie Kulturalnym” w numerze noworocznym na starcie 1961 roku. Później inne czasopisma literacko-społeczne zaczęły także zamieszczać stałe felietony sportowe².

To ostatnie zdanie jest znamienne. Rzeczywiście, dopiero po ukazaniu się felietonów Tomaszewskiego pisma o innym niż sportowy profilu zaczęły również zamieszczać felietony o takiej tematyce.

Tomaszewski napisał ponad tysiąc felietonów, głównie dla „Przeglądu Kulturalnego”, a po jego likwidacji dla warszawskiej „Kultury”, aż do zamknięcia pisma w grudniu 1981 roku. Następne pojawiały się w „Przeglądzie Katolickim” oraz w periodykach *stricte* sportowych: „Asie” i „Sportowcu”. Teksty drukowane na łamach tych pięciu czasopism stały się podstawą wyboru, jakiego dokonał ich autor w 1990 roku. Tych czterdzieści sześć adresów zostało opatrzonych wspólnym tytułem *Pożegnalna defilada*. Pojawia się tu galeria postaci, które w większości już odeszły: – przedwojenni piłkarze, tenisiści, lekkoatleci. Autor nawiązuje do tragicznych wydarzeń wojennych i okupacyjnych. Na przykład w 1939 roku, w przededniu wybuchu wojny, odbywał się słynny, niezwykle zacięty mecz tenisowy Polska–Niemcy. Naprzeciw siebie stanęli na korcie Metaxa i Baworowski. Zapewne nie podejrzewali, że wkrótce zostaną obaj wcieleni siłą do Wehrmachtu i obaj stracą życie w bitwie pod Stalingradem. Na kartach felietonów goszczą także legendarne postacie sportu powojennego, ci, którzy byli aktywni do końca lat 80. Różnią się kolorem skóry, miejscem zamieszkania i wieloma innymi cechami, ale tym, co ich łączy, jest siła charakteru, która nie tylko prowadzi do odnoszenia zwycięstw, ale także daje umiejętność przyjęcia przegranej w szlachetnej rywalizacji. Tomaszewski doskonale rozumiał bowiem istotę sportu, wiedział, że zwyciężanie jest czymś pięknym, ale dostępnym tylko nielicznym, natomiast prawdziwie fascynujący jest udział w misterium doznań emocjonalnych i estetycznych, którego najwyższym stopniem wtajemniczenia

² B. Tomaszewski, *Pożegnalna defilada*, Warszawa 1990, s. 9–10. Następne cytaty za tym wydaniem

jest akceptacja własnej porażki i szczerą radość z cudzego zwycięstwa. Chciałoby się rzec, „byłem dobry, nawet bardzo dobry, dałem z siebie wszystko, co potrafiłem, nie przekroczyłem reguł *fair play*, ale ktoś okazał się jeszcze lepszy”. W tym właśnie tkwi prawdziwe piękno sportu. Kto tego nie rozumie, nie powinien pojawiać się na stadionach.

Tomaszewski oczywiście zdawał sobie sprawę, że takie podejście jest oglądem obiektu swoich zainteresowań jedynie z wybranej perspektywy – tej idealnej. Wiedział, że sport bywa brudny. Interwencyjność pozostawiał jednak innym, sam koncentrował się na tym, co w sporcie doskonałe, co wyrasta z antycznej tradycji agonów i co starał się wskrzesić w czystej postaci francuski baron Pierre de Coubertin w '96 roku XIX stulecia, gdy restaurował ideę igrzysk.

W *Pożegnalnej defiladzie* daje się odczuć klimat nostalgii za światem młodości, za arenami sportowych zmagania, na których się bywało. Ta książka jest bowiem pożegnaniem autora z zawodem. W latach 90. Tomaszewski zdecydował się przejść na emeryturę. Zachęcali go wprawdzie do dalszej aktywności liczni sympatycy jego talentu, ale okazał się konsekwentny w swoim wyborze. Owszem, pojawiał się gościnnie w radiu lub telewizji, czasem coś opublikował, ale był to raczej rodzaj terapii i rozrywki niż ciężka praca, której wcześniej nigdy nie unikał. Chętnie też bywał na najbardziej chyba eleganckiej imprezie sportowej świata, czyli na turnieju tenisowym w Wimbledonie, gdzie na trybunach zasiada brytyjska rodzina królewska i koronowane głowy oraz prezydenci wielu państw, a ulubione sektory zajmują ludzie kultury, sztuki i nauki.

Zbiór zawiera felietony pisane przez bez mała trzy dekady, do każdego dołączony został współczesny autorski komentarz, zawierający najczęściej uzupełnienia, a czasem weryfikację opinii wcześniej wygłoszonych, nigdy jednak nie odwołuje tego, co zostało już raz napisane. Autor nie zmienił poglądów, przeciwnie, z perspektywy czasu potwierdzał je lub nawet pogłębiał. Często dołączał konteksty społeczne, kulturowe czy polityczne. Trzeba dodać, że polityka była jego pasją od zawsze, ale przed '89 rokiem nie realizował się w tej mierze. Po '89 aktywizował się wyraźnie po stronie prawicy.

W zebranych felietonach programowo nie zachowano chronologii. Czytelnik wędruje zatem wraz z ich autorem w czasie i przestrzeni, analizuje tematy i problemy (nie tylko zresztą sportowe), odwiedza ludzi sportu i tych, których los związał ze sportowymi obrzeżami.

Tomaszewski komentował liczne mecze piłki nożnej, ale dyscyplina ta pozostawała w cieniu jego największych miłości – tenisa i lekkiej atletyki. Jednak *Pożegnalną defiladę* otwiera felieton poświęcony właśnie piłce nożnej. Odpowiedź o przyczynę tego wyboru przynosi zamieszczony po tekście głównym komentarz:

postanowiłem rozpocząć od przypomnienia tego właśnie felietonu. Podobnie jak tyłu z nas i ja we wczesnych chłopięcych latach pokochałem piłkę nożną. Kopnięcie piłki – to było pierwsze zetknięcie się ze sportem. Czy ważne, że wydała się ciężka i nieposlušna? (s. 122–123)

Poświęcił w swojej książce, o czym wspomniałem, sporo miejsca ludziom, którzy w młodości uprawiali sport, często nie odnosili większych sukcesów, ale pozostali wierni w dalszym życiu swej wczesnej fascynacji. Pisał m.in. o Stanisławie Dygacie, Johnie Steinbecku (gdy przyjechał do Polski w '63 roku i dwa dni spędził na polowaniu w mazurskiej głuszy) czy profesorze Jerzym Lothcie. Z Dygatem był blisko zaprzyjaźniony, razem chadzali na sportowe imprezy. Cenił pisarza za bezkompromisowość i odwagę w głoszeniu prawdy, za to, że publicznie zawsze mówił to, co mówił także prywatnie, za brak hipokryzji. Dygat zresztą wstawił się kiedyś za Tomaszewskim:

Kiedy wiosną i latem 1969 roku atakowano mnie w prasie, bo sygnał dał Jerzy Putrament w „Trybunie Ludu”, zarzucając mi przesadny obiektywizm w ocenach gry polskich drużyn z zachodnioeuropejskimi (jakby obiektywizm był grzechem?!), Dygat spontanicznie podjął się obrony. Przeczytawszy felieton Dygata, zatelefonowałem z podziękowaniem, ale zaraz przerwał i zmienił temat. Jakiś czas później sam powrócił do tej sprawy mówiąc, że nie chodziło mu jedynie o obronę mojej pracy, a o sprzeciw wobec wprowadzania do sportu kryteriów pozasportowych, jak polityka i propaganda. (s. 12–123)

Bardzo ciepło nakreślił też sylwetkę Jerzego Lotha, swego wojennego wykładowcy z konspiracyjnej Szkoły Głównej Handlowej:

To był niewątpliwie człowiek z minionej epoki sportu. Znana i wielce szanowana rodzina Lothów... Lothowie – to także sportowcy różnych zamiłowań, dawni zawodnicy. [...] Najbardziej popularny, który doszedł bodaj do największych sukcesów wyczynowych, był Jan Loth – dzisiaj już legendarny bramkarz warszawskiej „Polonii”, a i reprezentacyjny obrońca bramki polskiej, oraz czołowy wówczas nasz tenisista. [...] jeden z nich [był] nawet prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego [oraz członkiem MKOl – dop. mój M. K.]. Tym człowiekiem był Jerzy Loth [...]. Byłem po prostu jego uczniem na konspiracyjnej SGH [...]. Inny kontakt, już nierównie krótszy, przelotny, miałem z Nim w czasie napowietrznej podróży do Australii, na olimpiadę, która odbywała się w 1956 r. w Melbourne. [...] W ciągu kilku dni z Warszawy przez Amsterdam, Rzym, Chartum, Karaczi, Bangkok, Manilę na Filipinach, wyspę Papuasów Biak na Oceanie Spokojnym, przez Sydney aż do Melbourne! Ponad wielką, realną – nie z papieru, lecz najbardziej plastyczną mapą szerokiego, cudownego świata, na sąsiednim fotelu w samolocie obok swego profesora geografii, najlepszego, jakiego można sobie wymarzyć! [...] Najpierw zwiedzaliśmy razem Amsterdam. [...] Dom, w którym żył i malował Rembrandt... Kanały i zaułki. Na balustradach mostów siedzą mewy i głośno krzyczą. Odcienie starych sklepień nad wodą zielonkawe, omszałe wilgocią. Byliśmy zachwyceni urokiem tego miasta, a profesor Loth powiedział, że Amsterdam podoba mu się bardziej niż Wenecja. [...] Przypomniałem mu wtedy w Amsterdamie pewne zdarzenie związane z jego wykładami. Był to okres najsroższych łapanek ulicznych w Warszawie. [...] Wprost nie można było przemknąć się do Śródmieścia na ulicę Kopernika, gdzie znalazła schronienie owa biedna okupacyjna, ale niewzruszenie trwająca SGH.

Słuchaliśmy wykładu geografii gospodarczej Polski. Na ścianie wisiała wielka mapa, a na niej widzieliśmy nasz kraj z Gdańskiem, Poznaniem i Katowicami. [...] Nagle ktoś wpadł [...] i zawołał, że idą Niemcy. Profesor Loth ledwo zdążył przekreślić mapę na drugą

stronę i oczom naszym ukazała się Afryka. [...] wszedł wizytator szkolnictwa [...], niejaki Fuhr, nawiasem mówiąc ten hitlerowiec wykladał przed wojną niemiecki w gimnazjum Zamoyskiego. Profesor Loth zachował, jak przystało na sportowca, zimną krew i znakomity refleks: „kontynuował” wykład na temat bogactw mineralnych Afryki. [...]

Ten wytworny starszy pan, jadący z grupą sportowej młodzieży jako przedstawiciel Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, był przez całą podróż zawsze na usługi ekipy. Po prostu przyjął funkcję tłumacza jako znakomity poliglota.

Bił nas i pod względem kondycji, i wytrzymałości. Lecieliśmy z krótkimi przerwami na lądowania od środy 7 listopada do niedzieli 11... Jest to dosyć męczące, więc wylaziliśmy z samolotu na lotnisku w Melbourne raczej wygnieceni, niewyspani i trochę nawet jacyś kwaśni, jak to młodzi ludzie, którzy lubią wygodę. Tylko profesor Loth pojawił się jak spod igły, wypoczęty i uśmiechnięty, a przy tym – co było szczególnie sympatyczne – młodzieńczo przejęty. Oto stawia nogę – on, stary podróżnik, na nowym lądzie! Znowu zobaczy coś ciekawego i będzie uczył się ludzi i świata [miał wtedy 76 lat – dopisek mój M. K.]. (s. 67–71, *passim*)

Warto jeszcze przytoczyć fragment komentarza dołączonego do tego felietonu:

owa nieoficjalnie istniejąca SGH [...] była w środowisku studenckim tamtych lat potocznie zwana szkołą Lipińskiego. Chodzi o profesora Edwarda Lipińskiego, nestora polskich ekonomistów [...]. Podobnie jak profesor Loth był także ubóstwiany przez młodzież. Tę okupacyjną uczelnię prowadził w asyście wybitnych wykładowców. [...] Stenografii uczył nas ktoś także wyjątkowy: Karol Irzykowski. Uczył stenografii, bo nie mógł zarabiać na chleb pisaniem swych słynnych literackich esejów; stary, dziwny pan z nieporządną bródką, wtedy jakiś osowiały i roztargniony. (s. 72–73, *passim*)

Tomaszewski słyszał z tego, że potrafił dostrzec dramaturgię w pozornie zwykłych wydarzeniach. Dużo rozmawiał z zawodnikami, docierał do ich prywatności, starał się dociekać przyczyn, które sprawiały, że jedni odnosili zwycięstwa, a inni doznawali porażek. Dla niego końcowy wynik, rezultat meczu, osiągnięty czas lub odległość nie były tylko suchymi faktami. To było, jak twierdził dobre dla kronikarzy. Jego zaś interesował bardziej człowiek i proces dochodzenia do wyniku.

Umiał także zwrócić uwagę na szczegóły z pozoru nieistotne, banalne, które sprawozdawca-wyrobnik pomija milczeniem. Dostrzegał w nich nieoczekiwany powiew świeżości. Niech ilustracją będzie następujący przykład:

Chris Lloyd de domo Evert przygotowuje się do serwisu. Trzyma piłkę w ręku, nie uniosła jeszcze rakiety. Ważny moment w meczu. Centralny kort wypełnia absolutna cisza. Amerykanka znów spojrzała na przeciwniczkę po drugiej stronie siatki, a potem skierowała wzrok na piłkę, którą trzyma w dłoni. Nie czuje obecności tłumu. To taki moment, kiedy sportowiec zanurza się całkowicie w głąb siebie i odrywa od zewnętrznego świata. Wtem ukazuje się żółty motyl, zaczyna krążyć nad piłką w ręku tenisistki. Evert go nie widzi. Patrzy przed siebie, palce zacisnęła na uchwycie rakiety. Jeszcze pół sekundy, a spręży się i wyrzuci piłkę do góry, by zaraz potem wykonać zamach rakieta. Wszyscy widzą żółtego motyla, trzepoczącego się tuż nad piłką, tylko Evert go nie dostrzega. I nagle, kiedy skierowała znów wzrok na dłoń – tak, teraz i ona widzi [...]. Jeszcze nie zdaje sobie sprawy, co to jest, to coś żółtego, i wtedy motyl siada na piłce. Zastygł. Evert

jest zaskoczona, nie wie co zrobić. Zacięta twarz z wolna łagodnieje. Cała koncentracja spływa. Tenistka czeka, a potem pochyla się i delikatnie dmucha na motyla. Sfrunął z piłki jak pyłek. Szmer na widowni, brawa. Wszyscy prowadzą wzrokiem żółty punkcik, który równie szybko zniknął, jak się pojawił. Amerykanka już może serwować. Uderza piłkę zaskakująco lekko, a i odpowiedź przeciwniczki zrazu jest równie miękka i dopiero po paru odbiciach na wimbledoński centralny kort powraca twardość i zaciętość. (s. 129–130, passim)

Dwa felietony w *Pozegnalnej defiladzie* poświęcił Tomaszewski igrzyskom olimpijskim w Los Angeles w 1984 roku. Jak wiadomo, w wyniku decyzji władz komunistycznych Polacy w tej olimpiadzie nie wzięli udziału, Z tzw. bloku wschodniego wyłamała się tylko Rumunia. Telewizja transmitowała jedynie dwuminutowe skróty w głównych wydaniach dziennika, a wysłani reżimowi sprawozdawcy bękotali coś o komercjalizacji, amerykańskim szowinizmie, o natręctwie reklam itp. Złośliwość poganiała złośliwość, a sport zszedł zupełnie na drugi plan. Podobnie jak sportowcy, którzy nie mogli wziąć udziału w zawodach tak wielkiej rangi, także i mistrz polskiego dziennikarstwa sportowego z goryczą pisał o igrzyskach, przeżywanym po raz pierwszy od wielu lat na odległość.

Padło wyżej określenie „mistrz”, gdyż w latach 80. zasługiwał już w pełni na to miano. Tomaszewski też miał swoich mistrzów, o których wyrażał się z estymą. Szczególnie wysoko cenił Wojciecha Trojanowskiego:

Największą osobowość miał według mego głębokiego przekonania i najlepszym polskim sprawozdawcą był Wojciech Trojanowski. Pracował przy mikrofonie Polskiego Radia w latach 30. i szybko stał się ulubieńcem słuchaczy [...]. Był wszechstronny, robił transmisje z piłki nożnej, lekkoatletyki, boks, tenisa, hippiki, narciarstwa... Siłą i jego urokiem była malarskość reportaży, bogactwo języka, śmiałość metafor, różnorodność zainteresowań pozasportowych, kultura osobista, a przy tym dogłębne rozumienie sensu sportu. Był plotkarzem, olimpijczykiem na igrzyskach w Amsterdamie w 1928 roku. Miał sport w małym palcu, ale właśnie nie eksponował swej fachowości, dyskretnie ją chował. Docierał zarówno do znawców, jak i do osób, które ze sportem stykały się po raz pierwszy dopiero za pośrednictwem jego relacji [jakże te wszystkie cechy pasują też do samego Tomaszewskiego – dopisek mój M. K.].

Ten żołnierz Września spędził całą resztę wojny w woldenberskim oflagu i wielu oficerów–jeńców do dziś z sentymentem wspominać będzie jego jedyne sprawozdania z wyobraźni. Leżeli na pryzkach w ciemnym baraku, a kolega wskrzeszał wspaniałe mecze albo biegi Kusego z Nurmim. I tak opowiadał, że jeńcy przenosili się na ojczyste stadiony. (s. 300–301, passim)

Po wojnie Trojanowski pozostał na Zachodzie. Komentował sport dla BBC oraz Wolnej Europy, choć zajmował się nie tylko sportem w swojej pracy dziennikarskiej. Zakończył działalność właśnie podczas olimpiady w Los Angeles w 1984 roku, na którą Tomaszewski nie pojechał.

Znałem go z radia i z widzenia od dawna – wspomina Tomaszewski. – Osobiście poznałem dopiero w listopadzie 1956 r. w polskiej wiosce olimpijskiej w Melbourne. Taka

to była dziwna jesień owego roku. Sprawozdawca RWE mógł spokojnie odwiedzić naszą ekipę, rozmawiać z kierownictwem i przeprowadzać rozmowy z zawodnikami. Po Melbourne spotykałem go wiele razy na olimpiadach i innych wielkich imprezach. Niejednokrotnie mieszały się nasze głosy i przebijały przez ściany kabiny, gdyż organizatorzy często ustawiali w bezpośrednim sąsiedztwie stanowiska sprawozdawców dwóch tak różniących się radiofonii. (s. 301–302)

Bohdan Tomaszewski jako bodaj jedyny dziennikarz sportowy został w pełni zaakceptowany przez stołeczną śmietankę towarzyską. Spotykał się z aktorami (Łapickim, Olbrychskim, Holoubkiem), filmowcami (Wohlem, Gruzą), malarzami (np. Mierzejewskim) czy pisarzami (Konwickim, Szczypiorskim). Jeden z tuzów tego środowiska, Gustaw Holoubek, tak mówi o Tomaszewskim:

Zarzucano mu zbytnią poetyckość, jakieś wymyślania, estetyzowanie. Nieomal mijanie się z prawdą w opisie zdarzeń sportowych. A mnie się wydaje, że on bardziej niż ktokolwiek inny dotykał najbardziej istotnych zdarzeń sportu właśnie dlatego, że posługiwał się metaforą, uogólnieniem. To zawsze było bardziej trafne i działające na wyobraźnię niż na przykład suchy wynik.

Muszę przyznać, że w tym wszystkim, co zaproponował Bohdan Tomaszewski, była tak ogromna siła, że potem, kiedy się załamał i wycofał z dziennikarstwa – mam na myśli rok 1981 – kiedy ta w gruncie rzeczy szalenie krucha, niezmiernie słaba natura została rozbita przez ten najazd chamstwa – muszę przyznać, że ta siła była tak ogromna, iż do tej pory, ja przynajmniej, nie mogę odnaleźć w sporcie przy pomocy tych, którzy po nim nastąpili – czegokolwiek frapującego. Jest pustka. Są wyniki. [...] Wielcy aktorzy szukają w swoich ulubionych rolach [...] prawdy o człowieku. Bohdan także szukał prawdy. [...] Wręcz obsesyjnie zajmował się tymi sportowcami, którzy przegrywali albo mogli przegrać. On szukał przede wszystkim sprawiedliwości. [...] Ja nie wiem, czy Bohdan Tomaszewski o tym wie, ale przypuszczam, iż nie zdaje sobie sprawy, że działa w nim pewna podświadomość, a nie świadomość rzeczy. Gdyż o wiele bardziej dramatyczne, prawdziwe, staje się spojrzenie na rzecz z punktu widzenia pokonanego, niż z punktu widzenia zwycięzcy. Żeby się odwołać do przykładów monumentalnych: Ajschylos po wielkim zwycięstwie Greków napisał tragedię *Persowie*. Z punktu widzenia pokonanych. W ten sposób stworzył obraz nie tylko samej bitwy, jej skutków, ale przedstawił fakt historyczny tak przejmująco i prawdziwie, że do dzisiaj jesteśmy przekonani, że Grecy nie wygrali. (s. 182–184, passim)

Bohdan Tomaszewski's Sports Journeys

Abstract

Pożegnalna defilada (The Farewell Parade) contains feature articles published earlier in “Przegląd Kulturalny”, “Kultura”, “Przegląd Katolicki”, “Sportowiec”, and “As”. The forty six short texts form a gallery of figures of outstanding sportsmen (regardless of their national affiliation, place of residence, or skin colour), and people who found their place on the outskirts of sport, or were loosely connected with it. The book is composed of columns written over almost three decades, and each is accompanied by a modern commentary, which is usually a supplement, evoking new circumstances, deepening those stated before with social, cultural, and at times also political contexts. Tomaszewski does not recall in detail the events from sports arenas, but calling upon the readers' knowledge of them tries to build a sociological, psychological, or philosophical reflection.